

informator

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 196
lipiec 2005



Numer ten jest poświęcony
pamięci Nieznanego Mikroba

„WOJNA ŚWIATÓW” W KILKU ODSŁONACH

Gdy patrzyłem ostatni raz na tę cichą, skapaną w słońcu dzielnicę Sheen, była to ustronna, boczna uliczka zabudowana ślicznymi białymi domkami o czerwonych dachach, ocieniona bujnym starodrzewiem. Teraz zaś stałem na zwalisku skruszonych cegieł, gliny i żwiru, po kolana w oplatającym je gąszczu czerwonego, kaktusowatego zielska, które zdawało się zupełnie zagłuszać tu ziemską roślinność. Pobliskie drzewa stały się martwe, brązowe, w dali jednak po żywych jeszcze pniach i konarach pięły się czerwone żyłki zielska.

Wszystkie sąsiednie domy były uszkodzone, nie spłonął jednak ani jeden. Gdzieniedzie ściany, bez drzwi i okien co prawda, zachowały się do wysokości pierwszego piętra. Otwarte ku niebu pokoje wypełniało pnące się niepowstrzymanie Czerwone Zielsko.

W dole rozwierała się ogromna jama, gdzie wrony walczyły ze sobą o szczątki. Parę innych ptaków skakało po ruinach. W oddali przemyczał się pod ścianą zbiedzony kot, śladów człowieka natomiast nie dostrzegłem nigdzie. [...]

Niepomny możliwych niebezpieczeństw stałem na chwiejnych nogach rozglądając się ze szczytu rumowiska. W niezdrowej wilgotnej norze, z której dopiero co się wydostałem, myśl moja obracała się w wąskim kręgu żarliwej walki o przetrwanie osobiste. Nie zdawałem sobie sprawy, co działo się z resztą świata, nie przeczuwałem tej przerażającej wizji rzeczy nieznanych, jaka roztoczyła się teraz przede mną. Sądziłem, że ujrzę Sheen w ruinach, dokoła zaś widniał dziwny złowieszczy krajobraz z innej planety.

W owej chwili uczucia me przekraczały zwykłe granice odczuwać ludzkich. Sięgały one niechybnie w dziedzinę dobrze znaną niefortunnie, podległym naszej władzy stworzeniom. Czułem to samo, co odczuwałby królik, kiedy wracając do swej norki zastanie niespodzianie tuzin kopaczy zajętych wykopem pod fundamenty domu w tym właśnie miejscu, gdzie do niedawna była jeszcze norka. W świadomości mej pojawił się pierwszy przebłysk myśli, coraz ostrzej rysującej się i przesładującej mnie przez wiele następnych dni, myśli o detronizacji człowieka; przeświadczenia, że nie jesteśmy już dłużej panami stworzenia, lecz zwierzętami jak inne, podległymi władzy Marsjan. Odtąd i my, i one skazani jesteśmy na nieustanne czuwanie i czajenie się, na ucieczkę i krycie się; panowanie człowieka, strach przed nim minęły bezpowrotnie.

*Herbert George Wells, „Wojna światów”
tłum.: Henryk Józefowicz, Kraków 1974
(WL, Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej)*

Herbert George Wells (1866-1946) to pisarz niezwykły. Zafrapowała go, rodząca się wtedy, fantastyka naukowa. Jednak, w przeciwieństwie do Verne'a, nie interesował go opis wynalazku, w ogóle nie przejmował się technicznym prawdopodobieństwem; i – co najważniejsze – był pesymistą. W swych najświetniejszych utworach burzył wiktoriańskie przekonanie, iż człowiek ma „zagwarantowaną”, do końca Wszechrzeczy, pozycję Pana Stworzenia. Przecież „zdetronizować” go może albo długoletnia degeneracja („Wehikuł czasu”), albo nagła konfrontacja z gatunkiem silniejszym („Wojna światów” właśnie).

W swej twórczości zapoczątkował lub twórczo rozwinął kilka „podgatunków” science fiction: inwazję kosmitów, podróż w czasie, podróż międzyplanetarną, międzygatunkowe hybrydy, wynalazek w rękach szaleńca... W samej „Wojnie światów” zawarł przekonujący opis wojny totalnej (panika tłumu etc.), ludzkich zachowań wobec ostateczności (postacie artylerzysty czy wikarego) oraz broni masowej zagłady (trujący obłok, snop gorąca) – a powieść tę napisał w roku 1897, gdy nikomu nawet nie śniły się dwa światowe konflikty!

Nie miał, niestety, szczęścia do adaptacji. Wszystkie są strywalizowane treściowo, a nawet – dobrze nie oddają precyzyjnie dopracowanych fabuł Mistrza.

Najciekawsza dramaturgicznie adaptacja „Wojny światów” to słynne słuchowisko radiowe z 1938 roku, nadawane w formie komunikatów z frontu walk. Wywołało ono w USA autentyczną panikę. Ale cóż... Jego autorem był, niespełna dwudziestotrzyletni, Orson Welles – przyszły reżyser „Obywatela Kane” (dzieła, które zapoczątkowało współczesne kino!). Kilkanaście lat temu powstał zresztą film telewizyjny o tamtym słuchowisku i tamtej panice.

Na ekran „Wojnę światów” chcieli przenieść i Cecil B. DeMille (twórca wielkich widowisk biblijnych), i Alfred Hitchcock (nb. mało komu wtedy znany). Dopiero jednak legendarny producent George Pal, w roku 1953, zrealizował tę wizję (wraz ze scenarzystą Barré Lyndonem i reżyserem Byronem Haskinem). Akcję filmu uwspółcześniono, przeniesiono do USA i zaprawiono „zimnowojennym” sosem. Jak na tamte lata – jest to całkiem przyzwoite kino SF (plus widowiskowe sceny działania marsjańskich laserów); jednak porównania z książką nie wytrzymuje (delikatnie mówiąc...).

Znaczenie później (chyba, o ile się nie mylę, był to hołd złożony powieści w jej stulecie) na rynku wydawniczym ukazała się interesująca w zamyśle antologia: stworzony przez wielu współczesnych pisarzy zbiór opowiadań alternatywnych mówiących o tym, co akurat robiły rozmaite słynne postacie (np. Albert Einstein), gdy „w początkach XX wieku” na Ziemię spadały marsjańskie walce.

Najnowsza superprodukcja Stevena Spielberga też jest „uwspółcześniona” i „zamerykanizowana”. Nieco w tym Wellsa, sporo w tym Spielberga. I chyba wellsowskie trójnogi i wellsowskie bakterie kłócą raczej z realiami współczesnej wiedzy i techniki...

Szkoda, że dziś, w dobie mody na steampunk (czyli zabawę w wymyślanie fantastycznych XIX-wiecznych machin), nie zrealizowano tego w realiach powieściowych! Przy odpowiedniej widowiskowości nie byłoby żadnych „zgrzytów” (raczej dodatkowa malowniczość); a naukowci „puryści” mogliby przecież potraktować taki film jako alternatywną wizję dziejów.

Ktoś zresztą, równocześnie ze Spielbergiem, rozpoczął zdjęcia do niskobudżetowego filmu „Herbert George Wells’ The war of the worlds” (czyli: „Wojna światów Herberta George’a Wellsa”) – reklamowanego jako pierwsza wierna ekranizacja powieści. Trzymam szczerze kciuki! Aczkolwiek zawsze istnieje obawa, że wyjdzie z tego ruchoma ilustracja szkolnej lektury...

Może zresztą niepotrzebnie się „czepiam”: sfilmowanie arcydzieła (a powieść Wellsa jest literackim arcydziełem niewątpliwie!) – to zawsze karkołomne przedsięwzięcie. Może więc lepiej zachęcić Was do odwiedzenia księgarni lub biblioteki?

Jan Plata-Przechlewski

PS.

Luźnych nawiązań do wellsowskiej wizji doszukać się możemy w wielu filmach. Przykładami pierwszymi z brzegu mogą tu być: polska „Wojna światów. Następne stulecie” (1981) Piotra Szulkina i amerykański „Dzień Niepodległości” (1996) Rolanda Emmericha.

Pierwszy z tych filmów powstał w okresie „karnawału Solidarności” – i jest de facto satyrą na telewizyjną manipulację. Z Wellsa nie ma w tym właściwie nic (wcześniej młody reżyser równie arogancko potraktował inną legendę literatury: „Golema” Gustawa Meyrinka).

Drugi z filmów, jeden z najbardziej kasowych hitów ostatnich lat, jest widowiskiem równie imponującym, co kiczowatym. Z Wellsa mamy tu: miażdżącą przewagę kosmicznych najeźdźców oraz... komputerowy wirus (będący wyraźną parafrazą ziemskich bakterii).

jpp

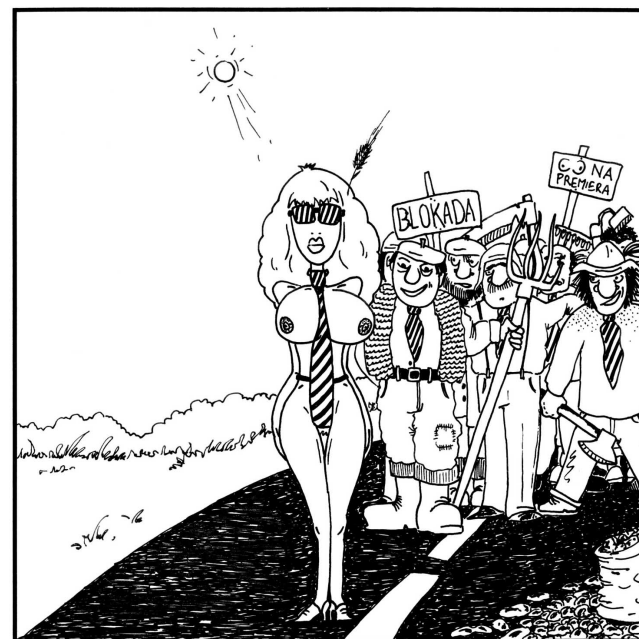
URODZINY

Wrześniowi Urodzeńcy!

Ostrego wejścia w kampanię wyborczą
życzy Wam

Redakcja "Informatora"

- | | |
|--------------------------------|-------------------------------|
| 1 Mariusz Rostankowski | 21 Maciej Bulanda |
| 4 Marek Falkowski | 21 Jan Cieśliski |
| 5 Piotr Adrian | 27 Robert Jaliński |
| 6 Paweł Lewandowski | Piotr Krajewski |
| 10 Piotr Sierociński | 28 Magdalena Wiczyńska |
| 12 Grzegorz Szczepaniak | 29 Grzegorz Dębski |
| 13 Dominik Gaworczyk | Mariusz Kanabrodzki |
| Rafał A. Ziemkiewicz | Janusz Piszczek |
| 16 Anna Martuszczyńska | |



14/2003 ©

Trójfikcje del Mar III

Niech żyje (do)wolność

W dniach 24–26 czerwca w Gdyni odbył się konwent Trójfikcje del Mar (powstały z połączenia Trójfikcji i Convent del Mar), organizowany m.in. przez kluby zrzeszone w Trójmiejskiej Federacji Fantastyki oraz serwis Trójmiejska Inicjatywa RPG'owa.

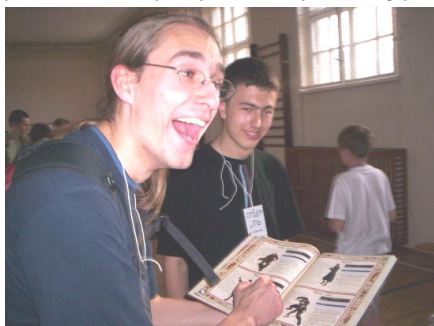
Trójfikcje, Trójfikcje... Cóż, poprzednie dwie edycje musiały umknąć poza mój horyzont postrzegania, ale ponieważ na nadmiar konwentów na Pomorzu nie można niestety narzekać, zdecydowałem się go odwiedzić. Mało tego, był to nawet konwent, na którym poprowadziłem pierwszy raz w krótkiej karierze punkt programu. Ale po kolei.

Lokacja konwentu, czyli Szkoła Podstawowa nr 10 w Gdyni, gdy sprawdziliśmy na stronie internetowej odpowiednie mapki, okazała się dogodna – zaledwie krok od kolei SKM i trzy kroki od wylotu trójmiejskiej obwodnicy. Dojazd był więc bezproblemowy zarówno dla osób z Trójmiasta, jak i spoza niego. Ech, co to za konwent, z którego na noc da się bez problemu wrócić do domu? Mimo to w piątek o 16:30 zapakowaliśmy się do wehikułu i ruszyliśmy, gdyż nasza obecność, co ustaliliśmy z organizatorami, była ze wszech miar pożądana. Przed 18 byliśmy na miejscu i gotowi uderzyć na salony.

I wtedy pokazała się kulejąca organizacja. Na miejscu okazało się, że do dwóch alternatywnych terminów naszej prezentacji, czyli o 18 w piątek lub o 21 piątek, dołączył trzeci, i to ten wydrukowany w konwentowym informatorze: godzina 15, w niedzielę. Na dodatek okazało się, że zielony identyfikator Malkava (dla prelegenta) wywędrował z innym konwentowiczem (później zresztą go wysledziliśmy) wskutek zbieżności ksyw, bo przecież nie nazwisk. Zmusiło to dziewczyny w akredytacji do improwizowania, i nas zresztą też. W końcu ustaliliśmy, że poprowadzimy nasz punkt programu podwójnie – w terminie przewidzianym w konwentowym info i w terminie podanym na stronie internetowej – tak, aby nikogo nie zawieść.

Poza tym zgrzytem (gorzej czułbym się, gdybym przyjechał specjalnie na jeden dzień z daleka) nie mogę jednak powiedzieć o organizacji złego słowa. Nie było problemów byśmy otworzyli i zajęli na nasze potrzeby pustą Salę Konkursową (w piątek nie było tam przewidzianych żadnych atrakcji), ani żebyśmy ogłosili i urządzili w dogodnym terminie to, po co przybyliśmy.

W oczekiwaniu na ten moment zwiedziliśmy konwent i okolice. Ponieważ znajdowaliśmy się w środku miasta, nie było problemów z zaopatrzeniem się w podstawowe produkty. Zaopatrzyć się można było również w inne rzeczy – w Games Room były stoiska z grami, podręcznikami, a w holu – nawet z ceramiką. Z początku konwent wyglądał na wielką kłapę, potem



jednak zaczęliśmy spotykać coraz więcej fanów fantastyki. Odbyły się prelekcje, chociaż ze względu na dużą aktywność uczestników, przypominały one czasem bardziej panele dyskusyjne. Z tego, co wiem, odbyły się też wszystkie LARPy (nie jestem pewien, co do falloutowego), chociaż w żadnym nie miałem okazji wziąć udziału.

Wreszcie nadeszła ta chwila – o dziewiątej rozpoczęła się nasza prezentacja i trwała przez trzy godziny pełne opowieści, facecji i przypominania sobie ciekawostek ze świata Wolsunga (dla zainteresowanych: www.wolsung.pl). Salę napelniliśmy zdradziecko przeczekując całą prelekcję BajMica i zapraszając wszystkich wychodzących na naszą. Pozdrowienia dla wszystkich, którzy zdecydowali się zostać i zignorować odbywające się na terenie konwentu ognisko. O północy udaliśmy się do domów, aby wrócić w sobotę, gdy konwent był w pełni, a przynajmniej tak mogłoby się wydawać, patrząc na liczbę uczestników. Wrażenie psuje jednak fakt, że przez dwie godziny graliśmy w pożyczonego od Alchemika Munchkina w sali prelekcyjnej (staje się to z mojej strony swego rodzaju tradycją na konwentach) i najwyraźniej nikomu to nie przeszkadzało, bo prelekcje się nie odbywały. Za to Games Room, a także sala komputerowa, w której można było pograć w kultowego Quake2 i Starcrafta, były pełne (sam też skorzystałem). Na korytarzach nie było może gwarnie, ale dała się zauważyć pewna liczba uczestników – chociaż co z tego, skoro z braku programu musieli oni okresowo skryć się we własnym gronie w salach.

Ostatnim dniem konwentu była niedziela. Przybyliśmy tego dnia dość późno i zdążyliśmy jedynie poprowadzić godziną prezentację (przy zastraszająco niskiej frekwencji, ale co tam) oraz nie wziąć udziału w LARPie Crystalicum, prowadzonym przez Fenrana, gdyż odbywał się on w tym samym czasie. LARP zresztą podobno bardzo się udał, a ja miałem okazję wziąć w nim udział na Teleporcie. Ale to już inna historia.

Podsumowując: Konwent na jakieś cztery z plusem. Poza poszatkiwanym jak teczka kapitana Klossa programem – w zasadzie wszystko dopisało. Pozostaje tylko wierzyć, że doświadczenia zdobyte przez organizatorów pozwolą zrobić w sierpniu tego roku dużo lepsze Trójfikcje.

Sebastian M. Lenartowicz

Nadszedł Teleport 2005

Nie dla platfusów

"Teleportacja, lub teletransportacja, jest procesem przeniesienia obiektu z jednego miejsca w drugie mniej lub bardziej natychmiastowo, bez użycia konwencjonalnej transportacji." – Wikipedia

Niestety, tak dobrze to nie ma. O ile na poprzednim Teleporcie mogłem sobie pozwolić na powrót na noc do własnego, wygodnego leża, to aby uczestniczyć w konwencie o tej samej nazwie w tym roku, musiałem podjąć trudy podróży przez połacie naszego pięknego kraju, podążając jego śladem – trasą z Gdańska (dawniej Danzig) do Wrocławia (dawniej Breslau). Podróż do Wrocławia z przesiadką w Inowrocławiu, a potem do Leśnicy pociągiem o stacji przeznaczenia Legnica, wróżyło komplikacje i dawało pole do popisu chaosowi. Lecz same problemy z dotarciem do miasta miały zblednąć w porównaniu z późniejszymi niedogodnościami.

Strona internetowa konwentu zawierała oczywiście informacje o modusie dotarcia na miejsce, biorąc pod uwagę trasę z dworca Wrocław Główny. O sprytnych kombinatorach, którzy zauważyli istnienie przystanku Wrocław Leśnica, i w związku z tym planowali dotarcie na konwent za pośrednictwem owego punktu, archiwa milczą. Dla nie znających Wrocławia: sformułowanie „konwent odbywający się we Wrocławiu” dla takowego w Leśnicy jest mniej więcej tak prawdziwe, jak byłoby dla miejscowości Gdańsk i Pruszcz Gdański. Na szczęście zaraz po wyjściu z nie czyszczonego od czasu podróży przejścia podziemnego, tajemniczy emisariusz wychynął z cienia pobliskiej bramy i wskazał nam właściwą drogę. Nigdy potem go nie widzieliśmy.

Ach, skoro już jesteśmy przy słowie „pobliskie”. Jak czytamy na stronie informacyjnej konwentu, nocleg można było zapewnić sobie w pobliskich domach turystycznych (za daleko), pobliskim hotelu (gorzki śmiech ubogiego studenta), Orbisie (*ibidem*), oraz w pobliskiej szkole (w sam raz!).

Panie i panowie. Szkoła jest „pobliska” w promieniu pięciu, no, może dziesięciu minut marszu, a i to jedynie przy pewnej dozie dobrej woli. Ale nie dwudziestu pięciu. Nadto resztki mojego dobrego nastroju w drodze do miejsca noclegu zlikwidowało dziwne zakrzywienie przestrzeni, które spowodowało, że to, co na dołączonej mapce wyglądało jak półmetek, okazało się w rzeczywistości dziesiątą częścią dystansu. Poza tym dałem się wykorzystać finansowo, nabywając tzw. kartę noclegową, uprawniającą do zanocowania w szkole. Ochrona i tak ich nie sprawdzała. Najwyraźniej nie otrzymali instrukcji.



Nadto okazało się, że w szkole znajduje się tzw. „blok anime”, wydzielony z fantastyczno-literackiej części imprezy. Do niewątpliwych atrakcji, jakie zapewniło to nocującym w szkole konwentowiczom, zaliczyć można karaoke, maty DDR z niezbędnym akompaniamentem, oraz nocny wyścig po korytarzach w śpiworach.

To zaniechanie jedności miejsca i czasu (bo przemieszczenie się między lokacjami, na przykład po kurtkę, parasol czy zapasowe baterie do aparatu, bez użycia taksówki powodowało wypadnięcie z konwentu przynajmniej na okres odpowiadający jednemu punktowi programu) sprawiło, że uliczki Leśnicy pełne były ludzi miotających się pomiędzy Zamkiem, gdzie miały miejsce prelekcje, projekcje

i rozgrywki w Games Room, oraz szkołą, gdzie powoli, acz wytrwale w salach zbierali się starzy i nowi znajomi. Nie trzeba zbyt długo udowadniać, że w takiej sytuacji zainteresowanie programem malało, a uczestnicy improwizowali sobie własne rozrywki, sesje etc. Niektórzy zdążyli nawet podwieźć pobliskie kina.



Oczywiście nie można powiedzieć, że konwent zawiódł. Tam, gdzie nie było programu, znaleźli się współuczestnicy, którzy nie pozwolili się nudzić. Wielkie dzięki dla Alchemika za jego gry karciane, oraz już tradycyjną po Trójfickjach partyjkę Munchkin Fu w pustej sali prelekcyjnej. Program LARPów również wypadł – miałem przyjemność wziąć udział w trzech jednego dnia, co stanowi mój osobisty rekord. Odbyły się też efektowne pokazy rycerskie. Na pewno bardzo zadowoleni są miłośnicy gier bitewnych, którzy przedostatniego dnia konwentu grali praktycznie

wszędzie. Jeżeli chodzi o sam program spotkań i prelekcji, to niestety nie trafił on w moje osobiste gusta, ale też nie był ubogi. Lista zaproszonych gości robiła wrażenie. Sama lokacja konwentu zresztą również robiła wrażenie – nie zdarzyło mi się chyba widzieć konwentu w elegantszej lokacji, chociaż fort pod Toruniem ma lepszy klimat. Gdyby nie to, że w Centrum Kultury „Zamek” przebywała tylko połowa konwentu, połowa znajdowała się w pobliskiej szkole, a połowa rozeszła się po pobliskich restauracjach i pizzeriach – słowem, gdyby konwent nie był tak rozproszony nie byłoby się, do czego przychodzić.

A tak pozostawała jedynie improwizacja. Sesje, które próbowali poprowadzić autorzy **Wolsunga**, niestety nie zakończyły się pomyslnie, głównie ze względu na zbyt wielkie (*sic!* No bo jak prowadzić dla 10 osób?) zainteresowanie, ale też ze względu na brak miejsca do gry – bo w salach noclegowych chciało się raczej nocować i spać, a gdy je znaleźliśmy – poprosiliśmy o otwarcie wolnej, pustej sali – po pół godzinie zostaliśmy z niej wyproszeni, ze względu na ciszę nocną. Wyszliśmy więc na korytarz, dokładnie w miejsce, gdzie grupka młodzieńców puszczała na cały regulator muzykę, na dodatek marną.



Podsumowując: Marność, marność i wszystko marność. Zawiodły informacja, integracja, logistyka. Atmosfera mogła być lepsza, a tak powstawało pole dla drobnych starć, utarczek i incydentów. Na szczęście ochrona była profesjonalna i na miejscu.

Gdyby nie rzecz stanowiąca esencję każdego konwentu – spotkania z dawno nie widzianymi przyjaciółmi i poznanie nowych – i gdyby nie LARPy wolsungowe i kryształowe, byłbym bardzo, bardzo niezadowolony. A tak jestem tylko umiarkowanie rozczarowany, co najlepiej wyrażają słowa usłyszane przez Liroya w audycji na Radiostacji.

Zobaczymy, gdzie Teleport teleportuje się w przyszłym roku. Ja w niedzielę rano opuszczałem go po angielsku bez żalu.

PS. Zastanawia mnie tylko rozegrany w piątek wieczorem LARP w trybie turowym. Początkowo wydawało mi się, że to X-COM (wszystko by się zgadzało), ale ten miał być w czwartek...

Sebastian M. Lenartowicz



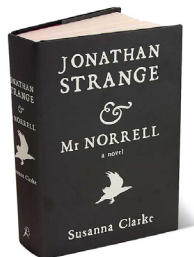
NOMINACJE DO ŚWIATOWEJ NAGRODY FANTASY

Ogłoszone zostały utwory nominowane do Światowej Nagrody Fantasy za 2004 r. W najważniejszych kategoriach wyróżnienia otrzymali:

♦ **w kategorii powieści:** Susanna Clarke („Jonathan Strange & Mr Norrell”), Stephen R. Donaldson („The Runes Of the Earth”), China Miéville („Iron Council”), Sean Stewart („Perfect Circle”), Gene Wolfe („The Wizard Knight”);

♦ **w kategorii mikropowieści:** Leena Krohn („Tainaron: Mail from Another City”), Kim Newman („Soho Golem”), Michael Shea („The Growlimb”), Lisa Tuttle („My Death”), Gene Wolfe („Golden City Far”);

♦ **w kategorii opowiadania:** Theodora Goss („The Wings of Meister Wilhelm”), Margo Lanagan („Singing My Sister Down”), Kelly Link („The Faery Handbag”), China Miéville („Reports of Certain Events in London”), Barbara Roden („Northwest Passage”).



MJS

JEST DYCHA?!

Amerkańscy naukowcy twierdzą, iż odkryli (od dawna domniemywaną) dziesiątą planetę naszego Układu.

Większa od Plutona, podobnie jak on skalisto-lodowa, trzy razy dalej niż on odległa od Słońca. Jest nieco mniejsza niż ziemski Księżyc.

Kontrowersje wywołuje jednakże fakt, że planeta – podobnie jak Pluton – znajduje się w tzw. Pasie Kuipera. Znajduje się w nim kilkaset obiektów znacznie większych od przeciętnych asteroidów i mniejszych od typowych dla Układu Słonecznego planet. Są one odmienne od ośmiu pierwszych planet: mają inne orbity i skład chemiczny.

To oznacza, że prawdopodobnie zarówno nowy obiekt, jak i Pluton (o czym mówi się od dawna) zostaną wyłączone z szacownego grona planet i ich liczba skurczy się do ośmiu.

jpp, MJS, za „GW”

ZAJDŁOWA ANTOLOGIA

Wszyscy uczestnicy Polconu, którzy opłacili już akredytację, otrzymają w prezencie 250-stronicową antologię opowiadań nominowanych do Nagrody im. J. Zajdla. Ci, którzy się jeszcze na Polcon nie zdecydowali, też mają szansę! Pierwsze 100 osób, które po 1 sierpnia wyśle zgłoszenie i wpłaci akredytację, otrzyma również pamiątkowy egzemplarz tej wyjątkowej antologii. Książkę wydał Śląski Klub Fantastyki we współpracy ze Stowarzyszeniem Fandom Polski oraz przy pomocy środków budżetowych Samorządu Województwa Śląskiego.

Piotr Derkacz (Klub Fantastyki „Druka Era”)

UFO W WEJHEROWIE!

W początkach lipca, na polu tuż przy granicy miasta, pojawiły kręgi w zbożu. Sezon ogórkowy – czy może jednak kosmici przylecieli po PiPiDżeja?

red.

„WIELKI DRACON” W GRODZIE WEJHERA

W dniach 2-3 lipca, w hali sportowej ZS nr 3 w Wejherowie, odbył się Ogólnopolski Turniej Gry Warhammer. Impreza zorganizowana została przez Klub Gier Bitewnych „Draconis” i Wejherowskie Centrum Kultury.

Zwycięzcami turnieju zostali: Marek Polmit z Warszawy (I miejsce), Błażej Misztal z Warszawy (II miejsce), Piotr Ołomski z Bydgoszczy (III miejsce).

jpp, wg: www.kgb.draconis.prv.pl i „Kurier Wejherowski”

ODSZEDŁ „SCOTTY”

W Vancouver w Kanadzie zmarł w wieku 85 lat James Doohan. Był aktorem znanym głównie z roli Montgomery’ego „Scotty’ego” Scotta w serialu i filmach z serii „Star Trek”.

MJS



POWRÓT SPIDERMANA

We wrześniu rozpoczną się wstępne prace nad trzecią częścią „Spidermana”. Premierę filmu zapowiedziano na 4 maja 2007 r. Można się spodziewać kolejnego sukcesu kasowego – pierwsze dwie części serii zarobiły na całym świecie 1,5 miliarda dolarów.

MJS za film.onet.pl

„BEOWULF” NA DUŻYM EKRANIE

Robert Zemeckis planuje nakręcenie ekranizacji średniowiecznego eposu „Beowulf”.

W projekcie macza palca człowiek-orkiestra, wielokrotny zdobywca anglosaskich nagród fantastycznych Neil Gaiman. Razem z Robertem avarym ma napisać scenariusz filmu.

MJS za film.onet.pl

SHECKLEY ZDROWIEJE

Robert Sheckley, który bardzo poważnie rozchorował się podczas kwietniowego pobytu w Kijowie, przeszedł operację serca i powoli dochodzi do siebie.

MJS

KTO CZYTA FANTASTYKĘ?

Badanie przeprowadzone przez PBS (dawniej Pracownia Badań Społecznych) na zlecenie „Gazety Wyborczej” na reprezentatywnej próbie Polaków:

- wśród osób czytających fantastykę jest niewielka przewaga mężczyzn (52%)
 - średni wiek czytelnika fantastyki to 31 lat; 35,8% czytelników fantastyki ma 25-39 lat
 - wśród czytelników fantastyki aż 24,5% ma wykształcenie wyższe (dla reszty badanych było to o połowę mniej: 12,5%); a dodatkowo 28,3% czytelników fantastyki to uczniowie i studenci (11,3% dla reszty badanych)
 - aż 62,3% czytelników fantastyki korzysta z Internetu (32,7% dla pozostałych)
 - czytelnicy fantastyki posiadają średnio 304,7 książki (199,07 dla reszty), a w ciągu ostatniego miesiąca przeczytali aż 4,77 książki (1,95 książki dla pozostałych), z czego 2,41 to fantastyka (a więc nawet „nie-fantastyki” czytają więcej niż reszta wszystkich!)
 - czytelnicy fantastyki czytają ponad 5 razy więcej komiksów niż pozostałe osoby
- dane uzyskane od ZS Fandom Polski – dziękujemy; jak również „GW” i PBS!

Federalne Biuro Inkwizycyjne

Delegatura Jastrzębia Góra



zaprasza na **DNI OTWARTE** czyli

Iron Virgin Days

Zapraszamy wszystkich prawowiernych! Szczególnie zaś zapraszamy innowierców, heretyków, kacerzy, pogan i ateistów!!
KAŻDEMU zapewnimy coś ciekawego!

Do Waszej dyspozycji oddamy wysokiej klasy specjalistów z różnych przydatnych dziedzin. Będzie można zwiedzać bogato wyposażone pracownie. Odbędą się liczne pokazy praktyczne. Zwiedzający będą mogli samodzielnie ćwiczyć!

Planujemy liczne konkursy: m.in. na INKWIZYTORA i OFIARĘ AD 2005. Chętnych zapraszamy na gratisowe szkolenia:

Dla początkujących inkwizytorów

Wymagania

- zdrowie kat. A
- otwartość na ludzi i kreatywność
- skrupulatność i determinacja
- smykałka do narzędzi
- zamiłowanie do ognia

Dla donosicieli

Wymagania

- dobry wzrok i słuch
- umiejętność pisania (obowiązkowo) i czytania (niekoniecznie)

Specjalnie dla Was zostanie zorganizowane emocjonujące polowanie na czarownice, zakończone tradycyjnym finałem.

Gwarantujemy co najmniej 8 efektownych nawróceń dziennie!!!

Nie zwlekaj! Już dzisiaj przyslij zgłoszenie!

W terminie 3 niedziel otrzymasz wezwanie

NASZ SPONSOR:

Nadzwyczajna Komisja Sejmowa do Walki z Herezją i Spekulacją.

Z listów/maili do redakcji "Informatora GKF":

Elo ziom'y!!! Pozdro, podobacie mi się, seryjnie, bo macie fazę i pokazujecie gołe foki. A jeszcze nie trzeba hetać, żeby mieć sarę na numer, i nie ma u was lorbasów. Ale bania i korba, jo!!! Nie można z wami zalegać. Jesteście moimi wężami! Narciarz!

NORDCON 2005

1. **Termin:** 8-11 grudnia 2005 roku

2. **Miejsce:** OWR „Hutnik”, Jastrzębia Góra

3. **Koszty:**

UWAGA! NOWOŚĆ! Akredytacja „krocząca”, zaczynamy od 45 zł (maj) i co miesiąc dodajemy kolejne 5 zł!!! Liczy się data przelewu lub przekazu!

Czyli:

▶ lipiec	– 55 zł	Członkowie GKF (z opłaconymi na bieżąco składkami):	
▶ sierpień	– 60 zł	▶ do 30 września	– 50 zł
▶ wrzesień	– 65 zł	▶ od 1 października do 30 listopada	– 70 zł
▶ październik	– 70 zł		
▶ listopad	– 75 zł		

po 1 grudnia – 80 zł

Noclegi

- pokoje 2,3 i 4 osobowe – 28 zł za osobonoc (39 zł po 01.11)
- pokoje 6–8 osobowe – 13 zł za osobonoc (18 zł po 01.11)
(zalecane karimaty i spiwory)

UWAGA: na noclegi opłacane po 1 listopada czyniony jest narzut 40%

Wyżywienie

- kolacje – po 7 zł
- obiady – po 15 zł

UWAGA: Gwarantujemy TYLKO posiłki opłacone na konto. Na miejscu można zamawiać posiłki z jednodniowym wyprzedzeniem. Śniadania dostępne w górnej kawiarni.

Koszulka ! Niepowtarzalna pamiątka z Nordconu'05 za jedyne 32,99 zł!!! Wysoka jakość koszulek i nadruku!

TYLKO w przedpłatach do 15 listopada, na zgłoszeniu proszę zaznaczyć rozmiar!

4. Informacje ogólne:

- warunkiem uczestnictwa jest opłacenie akredytacji i przysłanie zgłoszenia;
- w przypadku rezygnacji zgłoszonej pisemnie lub e-maillem:
 - do 30 września – zwracamy wszystko;
 - do 31 października – zwracamy za noclegi i wyżywienie;
 - do 30 listopada – zwracamy za wyżywienie;
 - w grudniu – nic nie zwracamy

(radzimy w tym przypadku znalezienie zastępcy – pod warunkiem, że przyśle zgłoszenie z rekomendacją);

- osoby bez strojów zgodnych z tematem, mogą być wykorzystane jako ofiary lub eksponaty.

Adres korespondencyjny GKF: P.O.Box 76, 80–325 Gdańsk 37

Pytania ogólne: Marta Witkowska, tel. 604688502, tandi@moo.pl

Sprawy finansowe: Bogusław Gwozdecki, tel. 509271567, texx@wp.pl

Konto: Gdański Klub Fantastyki

PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Na przekazach lub przelewach prosimy o WYRAŹNE wpisywanie personaliów oraz określanie za co się płaci. Przy wpłatach grupowych należy potwierdzić e-maillem do B. Gwozdeckiego.

Z listów/maili do redakcji "Informatora GKF":

Droga Redakcjo!

Mam straszny problem. Zakochałam się w jednym z braci Szklarskich, ale nie wiem, w którym. Co mam robić? Proszę, pomóżcie! Jak mam ich odróżnić?

Od redakcji: braci Szklarskich można odróżnić po tym, że Marcin ma wzrok o 1,75 dioptrii lepszy od wzroku Michała.

ZGŁOSZENIE UCZESTNICTWA

w 19. Konwencji Polskich Klubów Fantastyki **NORDCON 2005**

Prosimy wypełniać **DRUKOWANYMI LITERAMI!**

Imię i nazwisko	
Nazwa i numer dowodu tożsamości	
Adres zameldowania	
Adres korespondencyjny	
Telefon	E-mail
Przynależność klubowa	Podpis prezesa
Rekomendacja dla niezrzeszonych	Imię i nazwisko rekomendującego
Podpis rekomendującego	

Rekomendacji mogą udzielać prezesi Klubów Fantastyki, znani (nam) działacze Fandomu Polskiego oraz pisarze SF&F. Jeżeli nie znasz nikogo takiego – napisz na odwrocie podanie do koordynatora. Będzie rozpatrzone w odpowiednim terminie.

NOCLEGI (zaznaczyć odpowiednio x)

Zamawiam pokój:

2-osobowy (TYLKO koedukacyjnie)
 3-osobowy
 4-osobowy
 6–8-osobowy

8/9 grudnia	9/10 grudnia	10/11 grudnia
<input type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>

Osoby, z którymi chcę dzielić pokój:

.....

.....

POSIŁKI (zaznaczyć odpowiednio x)

Zamawiam: posiłki zwykłe ; posiłki wegetariańskie

	Czwartek 8 grudnia	Piątek 9 grudnia	Sobota 10 grudnia	Niedziela 11 grudnia
Obiad	<input type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>
Kolacja	<input type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	<input checked="" type="checkbox"/>

KOSZULKA (wpisać ilość sztuk i zakreślić odpowiedni rozmiar, koszulki są DUŻE)

Zamawiam koszulkę/lek, w rozmiarze:

<input type="checkbox"/> S	<input type="checkbox"/> M	<input type="checkbox"/> L	<input type="checkbox"/> XL	<input type="checkbox"/> XXL
----------------------------	----------------------------	----------------------------	-----------------------------	------------------------------

KORESPONDENCJA DO ORGANIZATORÓW

Zgadzam się na wykorzystywanie moich danych osobowych do celów ewidencyjnych i meldunkowych na Konwencji NORDCON 2005.

.....
data

.....
podpis

Z listów/maili do redakcji "Informatora GKF":

Ostatnio miałem widzenie, właśnie wtedy, kiedy czytałem jeden z ostatnich numerów "Informatora" (ten z glutem na okładce). Właśnie przewracałem strony, gdy trafił we mnie różowy promień monochromatyczny z Aldebarana. Co widziałem, nie potrafię opisać, w każdym razie coś mi kazało otworzyć ostatnią stronę. I wtedy mnie oświeciło!!! Odkryłem coś, co do tej pory umykało mojej uwadze!!! Coś niesamowitego!!! Mianowicie: czemu właściwie wszyscy członkowie redakcji mają nazwiska na "P" i "Sz"? Odpowiedź jest jasna: to spiszek! Jesteście masonami, agentami Mossadu albo przynajmniej kosmitami! Fuj!

P.S. Jedyńm porządny Ziemianin wydaje mi się M. Michowski.

„JAK POLONISTA Z POLONISTĄ” czyli – WYWIAD Z ADAMEM MAZURKIEWICZEM



PiPiDżej: Adamie, nie jesteś wprawdzie członkiem GKF-u – ale jesteś aktywnym sympatykiem naszego klubu i stałym publicystą naszego periodyku... Jak nas odkryłeś? I co sprawiło, że zdecydowałeś się zamieszczać swe teksty w amatorskim de facto „Informatorze”?

AdaM: To był zupełny przypadek. Rok temu pisałem szkic o horrorze wampirycznym i nie mogłem nigdzie zdobyć pracy Katarzyny Kaczor (chodziło mi o *Od Draculi do Lestata*), wydanej w serii „Anatomii Fantastyki”. Ponieważ miałem już wtedy kilka numerów „Anatomii...”, zajrzałem do poświęconego twórczości Ursuli K. LeGuin, gdzie znajdowały się adresy kontaktowe i zadzwoniłem do Krzysztofa. Zgadaliśmy się i od słowa do słowa dowiedziałem się o „Informatorze”. W wakacje Krzysztof przesłał mi kilka starych numerów (pomógł mi też zresztą uzupełnić serię „Anatomii...”). Przejrzałem je i bardzo mi się spodobały. Odpowiada mi ten szeroki margines swobody wypowiedzi; to, że recenzje nie są pisane pod autora i na zamówienie. Jeśli coś mi się podoba – piszę o tym, jeśli nie – też piszę. I jeszcze **nigdy** (a trwa to już prawie rok) nie miałem telefonu z sugestią, że „może by tak inaczej, łagodniej...”. Poza tym nie zgodziłbym się z Twoimi słowami o amatorskim charakterze „Informatora”. Wprawdzie każdy numer powstaje metodą nieomal chałupniczą i ma amatorski obieg, ale samo pismo stoi na wysokim (przekraczającym amatorszczyznę) poziomie. Objętościowo „Informator” nie może się oczywiście równać z tytułami wysokonakładowymi, ale też i znacząco, pod względem treści, wykracza poza to, co sugeruje tytuł. Dział muzyki, filmowy, recenzje – wszystko to sprawia, że pismo jest interesujące nie tylko dla klubowiczów.

PiPiDżej: Stałe pytanie w naszych wywiadach – kiedy zetknąłeś się z fantastyką i co Cię w niej zafrapowało?

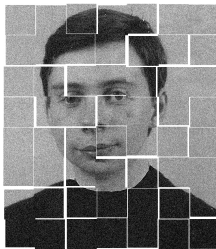
AdaM: Pierwsze lektury to, jak zapewne w większości przypadków, czasy podstawówki. Nie dam głowy, ale chyba pierwszą powieścią fantastycznonaukową, którą samodzielnie przeczytałem, była *Tajemnicza wyspa* Verne`a. Pamiętam, że byłem pod wrażeniem umiejętności Cyrusa Smitha. Kiedy w starszych klasach miałem fizykę i chemię, kilkakrotnie wracałem do tej powieści, konfrontując wizję Verne`a z podręcznikami. Verne towarzyszył mi zresztą przez całą podstawówkę i zawodówkę, wespół z Wellsem. Dzięki temu ostatniemu zainteresowałem się utopią i fantastyką socjologiczną. Szybko odkryłem Zajdla, Oramusa, *Niezwykłego Lema*... Resztę twórczości tego ostatniego poznawałem stopniowo, w dużych odstępach czasu, tak że ostatnia powieść (*Obłok Magellana*) przeczytałem, wstyd przyznać, kilka lat temu. Gdzieś po drodze były trzy tomy przygód Conana z wydawnictwa ALFA, jednak nie przypadły mi do gustu. Dlaczego? Sam nie wiem. Nie była to ogólna niechęć do *fantasy*, bo kiedy niedługo później przeczytałem cykl *Kane* Karla Wagnera, byłem zauroczony gotyckością atmosfery, podobnie z *Pierścieniem mroku* Pierumowa. Ale odbiegliśmy od tematu. Cenię fantastykę jako specyficzny język mówienia o rzeczywistości. O tym, co jest istotne dla nas tu i teraz. Wpływ na to ma zapewne fascynacja fantastyką socjologiczną. Do dziś zresztą wysoko sobie cenię prognozy społeczne (nawet jeśli się nie sprawdziły), jakich wiele było u Wellsa i Żuławskiego, a obecnie np. u Dukaja.

PiPiDżej: A nieco bliżej – jakie są Twoje ulubione tytuły, nurty, wątki, jacy są Twoi ulubieni pisarze i reżyserzy?

AdaM: Jak już sygnalizowałem – fantastyka naukowa o zacięciu socjologicznym. Najwyżej cenie sobie Jacka Dukaja. To jeden z najciekawszych współczesnych prozaików i najgodniejszy spadkobierca tradycji fantastyki w wersji Stanisława Lema. Imponuje mi rozmach jego wizji, precyzja języka, solidna podbudowa naukowa. Dukaj pisze w poetyce podobnej do Lema, ale nie brak też inspiracji Gombrowiczem. Odnajdywanie tych mniej lub bardziej ukrytych tropów, aluzji do tradycji filozoficznej (głównie Arystotelesa, neoplatoników, teorii symulaków Baudrillarda) to zabawa sama w sobie. Oczywiście są dni kiedy wolę coś „lżejszego kalibru”. Sięgam wtedy do Pilipiuka, Ziemiańskiego (swoją drogą jego *Autobahn nad Poznaniem* to wdzięczny tekst do zajęć ze stylizacji). Podoba mi się, w jaki sposób budując napięcie Oszubski i Grzędowicz. Kilka dni temu natknąłem się na świetny tom opowiadań Anny Kańtoch *Diabeł na wieży*. Jestem pod wielkim wrażeniem zwłaszcza tytułowego utworu. Znałem go już wprawdzie wcześniej z któregoś numeru „Science Fiction”, ale i tak z przyjemnością przeczytałem powtórnie. Zbyt wcześnie, by coś więcej o tym tomie pisać, ale gdy emocje opadną, mam nadzieję, że zgromadzone w im opowiadania będą mi się podobały równie mocno. Z obcych pisarzy bardzo sobie cenię twórczość Rosjan – braci Strugackich, Bułyczowa (zwłaszcza cykl guslarski), Pierumowa (choć w tym przypadku mam za złe tłumaczowi brak staranności w dopracowaniu stylistycznym przekładu trzeciego tomu *Pierścienia mroku*), fantastyczne humoreski Ilji Warszawskiego i frazę opowieści Władimira Szefnera. Lubię klasyczną antyutopię – Zamiatina (u niego cenię sobie nie tyle nawet słynne *My*, co zapomnianych zupełnie *Ludzi jaskiniowych*), Huxley`a, Orwella, Bradbury`ego, Morrisa (jego *Wieści znikąd* przeczytałem zupełnie przypadkowo, kiedy już straciłem nadzieję, że je zdobędę – książka miała chyba tylko jedno polskie wydanie na początku XX wieku). To nieomal zapomniana dziś literatura, zyskująca na aktualności w dobie poprawności politycznej. Nie stronię od horroru, głównie wampirycznego (Lumley, Newman). Niekiedy jednak nachodzi mnie perwersyjne pragnienie przeczytania czegoś Guy`a N. Smitha. Na taką okazję mam naszykowaną *Lalkę manitou* i *Szatańskiego pierwiosnka*. To wirtuoz kiczu, z całą powagą prezentujący swe wizje w sposób tyleż pompacyjny, co śmieszny.

Z filmami jest trochę bardziej skomplikowana sprawa. Właściwie bez zastrzeżeń oglądam jedynie międzywojenny ekspresjonizm niemiecki, ale filmy te są trudno dostępne. Większość zresztą nie była nigdy emitowana w Polsce. Bardzo wysoko cenię sobie Szulkina i Tarkowskiego, ci ludzie potrafili stworzyć coś z niczego. Nie wiem, czy zauważyłeś, że bardzo oszczędnymi środkami kreowali nastrój, który do dziś zwraca uwagę. Znamienne są zwłaszcza sceny z *Golema* Szulkina ukazujące puste miasto. Niby nic takiego, wyludnione ulice, sterty śmieci, a jednak reżyser osiągnął więcej, niż gdyby pokazał wybuch atomowy. Oglądając te sceny bardziej jestem przekonany, że to przyszłość po kataklizmie, niż wtedy, gdy widziałem nowszy przecież i bardziej zaawansowany technicznie film *Pojutrze*. Dzisiejsze kino to dość często popisy możliwości komputerowych efektów specjalnych z cieniutką fabułą. Są oczywiście wyjątki – *Cube* oglądałem kilka razy, nieomal dzień po dniu, wciąż odkrywając coś nowego. Mam też kilka filmów obejrzanych raz, a mimo to do których często wracam myślą: *Adwokata diabła*, *Znaki*, *Szósty zmysł*, *Innych*. To mniej lub bardziej metafizyczny nurt Hollywood. I znów – jeśli mam ochotę na rozrywkę – szukam seriali z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych. Nie jest ich wbrew pozorom tak mało. Ze trzy lata temu Tele5 emitowała dziewięć odcinków *Doktora Who*, teraz RTL7 powtarza *Kosmos 1999*. Z kolei Polonia 1 cyklicznie przypomina *Projekt UFO* i *Atak potworów*. Oprócz tego nagrałem sobie cykl „Inwazja SF” emitowany w Ale Kino! rok temu. Dziś

te filmy i seriale trącą myszką, ale kiedyś robiły wrażenie. Oczywiście mówimy tu wyłącznie o kinie fantastycznym, więc tylko wspomnę o kilku innych filmach. Każdy z nich cenię sobie za co innego: *Barry`ego Lyndona* za malarskość ujęć. *Rainman* zafascynował mnie ujęciami, w których widzimy świat oczami autystycznego bohatera. Filmy Franka Capry (*Życie jest piękne*, *Arszenik i stare koronki*, *Mr. Smith jedzie do Waszyngtonu*, *Banknot milionfuntowy*) za wiarę w człowieka. Z reżyserów, prócz Szulkina i Tarkowskiego, najwyżej cenię sobie Woody Allena za zgrzybliwą autoironię i Akiro Kurosawę za wyrazistych bohaterów. Ponieważ jestem raczej wrogąjącym kinomanem, więcej mógłbym opowiedzieć o filmach, które mi się nie podobają, to jednak zupełnie inna historia.



PiPiDżej: Jesteś pracownikiem naukowym na Uniwersytecie Łódzkim. Powiedz może nieco więcej o swej działalności zawodowej; ze szczególnym uwzględnieniem fantastyki, oczywiście...

AdaM: Ze względu na specyfikę jednostki organizacyjnej, w której pracuję (jest to Zakład Dydaktyki Języka Polskiego i Literatury), nie mam zbyt wielu okazji, by rozmawiać ze studentami o fantastyce. Wprawdzie co roku, w ramach edukacji filmowej i zajęć z dydaktyki filmu, omawiamy obejrany film (w semestrze po wakacjach będzie coś z klasyki — może *Człowiek, który nieprawdopodobnie się zmniejszał*, może *Nosferatu*. *Symfonia grozy* Murnau`a), a na dydaktyce literatury rozmawiam z nimi o specyfice lektury fantastyki, jednak to niewiele. Z kolei z uwagi na obciążenia dydaktyczne wolę pracować naukowo, niż prowadzić zajęcia fakultatywne. W efekcie znacząca większość prac, które publikuję, jest poświęcona rozmaitym kwestiom związanym z *science fiction*. Poświęcam jej właściwie prawie wszystkie referaty, z którymi jeżdżę na sesje naukowe, co roku umieszczam w uczelnianych zeszytach naukowych artykuł z historii lub teorii fantastyki. Niestety, cykl wydawniczy i kwestie związane z finansowaniem pisma sprawiają, że obecnie czekam na druk trzech artykułów (poświęconych motywowi miasta w antytopii, nurtowi późnej narracji archeologicznej i wątkom cyberpunkowym w polskiej fantastyce). Podobnie sprawa wygląda z drukami tomów pokonferencyjnych. Mimo to praca na uczelni daje mi wiele satysfakcji. Dzięki niej mogę być na bieżąco z życiem naukowym. Łatwiej też śledzić, co kto publikuje i czym się zajmuje. Wiele informacji o kolejnych sesjach zawdzięczam znajomym z konferencji. Czasem też (choć rzadko) z rozmów w kularach rodzą się pomysły na prace, a nawet współpraca. Oczywiście codziennie to nie wystąpienia i dyskusje, lecz własna praca naukowa. W tej zaś — jak to zwykle bywa — są dni lepsze i gorsze. Pracuję teraz nad dwoma większymi projektami. Jeden z nich, poświęcony fantastyce naukowej ostatniego piętnastolecia, już kończę. Pozostały mi jeszcze poprawki, te jednak zabierają najwięcej czasu. Drugą pracą, którą dopiero właściwie rozpoczynam, jest leksykon cyberpunku. Na razie opracowałem część poświęconą cyberpunkowi w literaturze. Pozostał do omówienia komiks, film, gry, anime... To wiele, zważywszy, że większość materiałów jest w bibliotece niedostępna (inna sprawa, że przeważająca część jest po angielsku i trzeba to najpierw opracować). Jednak dzięki pomocy ludzi dobrej woli i Internetowi mam dostęp do materiałów nawet trudnych do zdobycia. Poza tym udało mi się namówić do współpracy miłośnika cyberpunku, więc damy sobie radę. Oczywiście nie jest to praca na wakacje. Dobrze, jeśli uda się nam zakończyć całość w ciągu 3–4 lat.

PiPiDżej: Za „moich” czasów, na przełomie lat 70. i 80., na naszą grupkę fascynatów większość studentów i profesorów patrzyła jak na nieszkodliwych dziwaków. Tak naprawdę fantastykę traktowała poważnie tylko

nasza Pani Promotor. Pamiętam szczere zdziwienie jednej z pań metodyczek, gdy podczas egzaminu, poproszony o scharakteryzowanie wybranego wybitnego współczesnego pisarza polskiego, zacząłem mówić o Lemie! Teraz chyba następuje przegięcie w drugą stronę: młodzi literaturoznawcy chętniej chyba piszą licencjaty, magisterki i doktoraty o Batmanie niż o Mannie. Jak sądzisz: czy to badanie nietkniętych dotąd obszarów — czy po prostu dla młodego filologa łatwiejsze jest, jakby nie patrzeć, analizowanie świata Mrocznego Rycerza niż świata Czarodziejkiej Góry?

AdaM: Poruszyłeś kwestię bardzo ciekawą a jednocześnie trudną. To nie jest chyba rzeczą w tym, że pewne tematy są dla filologa łatwiejsze, a inne trudniejsze. W przypadku arcydzieł konteksty lektury narzucają się same i są na tyle bogate, że możemy dobrać najbardziej nam odpowiadające. Literatura popularna spełnia w obiegu czytelniczym funkcję inną niż wysokoartystyczna. Inne są też metody jej badania i wartościowania. Rzecz w tym, aby — tak w jednym i drugim w przypadku — znaleźć właściwy klucz do lektury. Aby jednak wydobyć to, co najciekawsze w (trzymajmy się Twojego przykładu) opowieści o Batmanie, nie wystarczy przeczytać komiksy, książki z jego przygodami, obejrzeć filmy. Trzeba też zadać sobie pytanie o funkcję społeczna historii, których jest bohaterem, przyczyny takich a nie innych zachowań postaci, wreszcie wpływ kultury, w obrębie której powstał, na ich kreację, a także spytać o sposób ich obecności w kulturze. Są bohaterowie „uniwersalni”, rozpoznawani jednakowo w różnych kręgach kulturowych, są jednak i tacy, którzy — poza macierzystym kontekstem — znaczą co innego. Pozwól, że posłużę się przykładem dalekim od fantastyki, ale znamionym. Niedawno dowiedziałem się o tym, że *Trylogia* Sienkiewicza była tłumaczona na język chiński. Ciekawe są losy jej recepcji. Dla Polaka sienkiewiczowski Kmicic to uosobienie tego, co wielkie i małostkowe w szlacheckim warchole. Tymczasem w Chinach jest on uosobieniem indywidualizmu i zostaje niżej wartościowany od postaci działających w zespole. Inny przykład z *Trylogii*: dla Chińczyków postępowanie kniazia Jaremy Wiśniowieckiego jest naturalne i nie traktują go jako okrutnika, co z kolei nam może wydawać się dziwne. Oczywiście takie badania transkulturowości (bądź jej braku) wymagają szerokiej wiedzy z kulturoznawstwa, socjologii czytelnictwa, nauk społecznych. Program studiów polonistycznych jest zbyt wąski, by student tę wiedzę zdobył na wykładach. Powiesz, że studia powinny przygotowywać do samodzielnego zdobywania wiedzy i ja się z tym zgadzam, jest jednak pewne „ale”... Od pewnego czasu obserwuję wśród studentów niepokojącą tendencję do uczenia się określonej partii materiału. Niewielu chce się doczytać coś na własną rękę spoza listy lektur (a i z lekturami obowiązkowymi jest różnie). Być może dlatego tak popularne są obecnie „kserówki”, umożliwiające lekturę „od — do”. W przypadku książki sięga się przecież poza wyznaczony materiał, choćby z ciekawości lub aby zorientować się w całości pracy. Jednakże dzisiejsi studenci nader często nie odczuwają takiej potrzeby i decydują o kserowaniu usprawiedliwiając oszczędnością czasu. Zgoda, jest też wiele książek niedostępnych poza ksero, ale studia powinny być także wartością samoistną, dla której warto poświęcić własny czas i wysiłek. Tymczasem coraz więcej osób zdających na pierwszy rok myśli o dyplomie magistra jako czymś, co należy im się obligatoryjnie, skoro przeszli przez sito selekcji egzaminów wstępnych. Potem zaś nie tyle poszerzają własne horyzonty myślowe, co starają się dać taką odpowiedź, której oczekuje według nich egzaminator. Nie potrafią w dyskusji formułować argumentów, powtarzają cudze racje, bez względu na to, czy są one aktualne, czy przebrzmiałe. A jeśli nawet mają okazję przedstawić swoje lekturowe fascynacje, czynią to poprzestając dość często na streszczeniu. Jak w tej sytuacji, nawet jeśli czytają fantastykę, mogą nią zainteresować kogokolwiek? Oczywiście nie przesadzajmy — są studenci i tacy, są i pełni pasji. Sam mam okazję

pracować z dwójką takich entuzjastów z łódzkiego bibliotekoznawstwa. Jeżdżą na sesje, rozwijają się, mają potencjał naukowy... I jeszcze jednak kwestia: język krytyki i prac poświęconych fantastyce. Jest on nierzadko manieryczny, co drażni naukowców starej daty, przyzwyczajonych do naukowego stylu, bez patetyczno-konfesyjnych wyznań. Może, gdyby udało się wypracować kompromis, łatwiej byłoby się dogadać, a tak *ten sobie gada, a ten sobie gada, pełno radości i krzyku* z którego niewiele wynika. Masz oczywiście rację, sugerując atrakcyjność poznawczą obszarów dotąd nie badanych.



I tu jednak sprawa ma „drugie dno”. Kto dziś (znów odbiegnię na chwilę od fantastyki) potrafi docenić cierpki humor Prusa w scenie z *Lalki*, w której sprzedawane są kalosze? Ilu z czytelników zastanawia się nad przelicznikiem rubli i złotówki? Kto zna Konopnicką inną, niż z *Naszej szkapki* i poezji zaangażowanej, liryczną? To znów pytania retoryczne, ale czy nie jest tak, że pewne konteksty, naturalne dla czytelników „z epoki” umykają nam i powtarzamy gest lektury bez świadomości jej sensów? Wydaje mi się, choć mogę nie mieć racji, że fascynacja literaturą popularną to wyraz potrzeby zmiany kanonu lekturowego. Zresztą sama literatura popularna też się zmienia. Dlaczego bardziej przemawia do nas Batman, niż Rinaldo Rinaldini? Co takiego pociąga nas w Gotham City, czego nie mają *Tajemnice Paryża* Eugeniusza Sue? Czy nie szukamy tego, co nam najbliższe, z czym potrafimy się identyfikować, co pozostaje w obrębie naszego „horyzontu myślowego”? Jednocześnie zaś fakt, że poddajemy refleksji naukowej nasze lektury, może świadczyć o próbie zrozumienia ich sensów w sposób głębszy niż tylko na zasadzie „podoba mi się, bo tak”. Poza tym wszystkim, co można nowego powiedzieć dziś o Mannie, Mickiewiczu, Norwidzie, Joyce’ie bez popadania we wtórność lub nadinterpretację? Swego czasu byłem świadkiem odczytania listów Maurycego Mochnackiego do rodziny jako powieści autobiograficznej. Metodologicznie pomysł nawet ciekawy, ale czy uprawniony? Nie jestem przekonany. W tej sytuacji nie dziwię się filologom u progu kariery naukowej, że wolą odkrywać zaniedbane tereny literatury, niż powtarzać cudze wnioski, choćby doszli do nich samodzielnie. Jest to dla nich z pewnością atrakcyjniejsze, ale — powtórzę — wcale nie łatwiejsze, jeśli się chciało wykorzystać interesujące (a uprawnione) konteksty. O tym zaś, że jest to możliwe i wartościowe, przekonuje nie tylko przykład Stanów Zjednoczonych i Rosji, gdzie istnieją jednostki uniwersyteckie (odpowiedniki naszych katedr i zakładów), badające fantastykę, lecz również to, co robią naukowcy z Wrocławia, Poznania, Gdańska i innych ośrodków. Sam współorganizowałem seminaria filmowe, we Wrocławiu ukazuje się rocznik „Literatura i Kultura Popularna”, w Poznaniu aktywnie działa Profesor Antoni Smuszkiwicz i Jego uczniowie.

PiPiDżej: Co jeszcze, odnośnie fantastyki i swojej w niej działalności, chciałbyś naszym Czytelnikom dopowiedzieć?

AdaM: Przede wszystkim to, że warto czytać nie tylko fantastykę. Im więcej różnorodnych lektur, tym głębiej potrafimy spojrzeć na kolejny utwór, niezależnie od tego, czy należy do fantastyki, czy nie. Ale miało być o fantastyce. Jest z nią tak samo, jak z pozostałymi zjawiskami literackimi: są arcydzieła, książki ulubione, do których powraca się chętnie wielokrotnie (te warto mieć dla wygody w domowej bibliotece) i książki do zapomnienia po jednej lekturze. Pomiędzy tym skrajnościami wiele przyzwoicie napisanych historii. I znów, jak zawsze, nie warto kierować się nazwiskiem, choćby największym — Lem i Dukaj też mieli gorsze tytuły. Wiem, że to banał, ale w dobie medialnego zgiełku wokół kolejnej powieści Małowskiej czy innej poprawnej politycznie, warto pamiętać, by rozejrzeć się po mniej eksponowanych

półkach, na którym można znaleźć i rewelacyjnego Huberatha (w EMPIK-u bywa on, nie wiedzieć czemu, położony poza działem fantastyki), i świetne opowiadania Brzezińskiej czy Kossakowskiej, i Zajdla... Przykłady można mnożyć. Co do mojej działalności to jest kilka pomysłów, które chciałbym zrealizować, kilka spraw wymagających współpracy z wieloma ludźmi. Marzy mi się — na wzór „Wieku Oświecenia” dla specjalistów od tej epoki — centralna baza adresów bibliograficznych publikowanych prac z zakresu fantastyki. Ludzie w różnych ośrodkach piszą na podobne tematy, nic o sobie nie wiedząc. Pomysł ten dopiero dojrzewa, ale wydaje mi się wart realizacji. Co poza tym? Mam więcej pomysłów, niż możliwości ich realizacji. Zapisuję je w osobnym pliku, na razie nie mam jednak czasu na ich rozwinięcie. Traktuję je jako „rezerwę” na chude lata. Ze spraw bieżących siedzę nad referatami na kolejne sesje. Na najbliższej będę mówić o wątkach *Urban legends* w polskim horrorze, potem o funkcjach obrazów przemocy w fantasy. Ten rok kalendarzowy zakończę wystąpieniem poświęconym przemianom poetyki nurtu fantastyki socjo-logicznej w ostatnim dwudziestolecu. Wtedy usiądę do artykułu do uczelnianych zeszytów naukowych — pociąga mnie myśl o historii alternatywnej, więc może coś z jej kręgu? Fantastyka to bogaty wszechświat myśli, pomysłów, ujęć tematów. Dzięki tej jej specyfice mam możliwość mówienia o niej na różnych sesjach, nie tylko adresowanych do badaczy *science fiction* lub *fantasy*.

PiPiDżej: Może teraz parę informacji bardziej prywatnych – może inne hobby, może znak Zodiaku, może coś jeszcze?

AdaM: Praca zajmuje mi większość czasu, więc resztę staram się poświęcić rodzinie. Trudno zresztą nie czynić tak, mając półtoraroczną córkę Zuzannę Bernadetę (miało być Matylda, ale żona się nie zgodziła, kiedy przyznałem, że to na coś bohaterki z *Leona Zawodowca*) i dwa psy. Na szczęście moja ukochana a lepsza potowa też jest pracownikiem naukowym, więc zajęcia układamy sobie tak, by któreś z nas zawsze było w domu. A kiedy — jak w piosence Lady Punk — „są dni, kiedy mam już dość” (nauki polskiej, fantastyki, studentów, książek), zamykam się w kuchni i gotuję. Właściwie nie wyspecjalizowałem się w żadnej kuchni etnicznej, robię to, na co akurat mam ochotę, korystając z przepisu jako bazy do improwizacji (niekiedy nader swobodnej). Robię to jednak (chyba) na tyle dobrze, że rodzina nie protestuje przy stole. Przydaje mi się też wysiłek fizyczny, wymuszony przez dziecko i psy. Te chwile oderwania się od pracy z kolei procentują i nie finiszuję w czerwcu na koniec semestru zupełnie wykończony.

Pytasz o znak Zodiaku. Ponieważ urodziłem się 23 sierpnia, zależnie od horoskopu jestem Lwem lub Panną. Z kolei w myśl horoskopu chińskiego — kogutem urodzonym w roku Wołu. Rzekłbym, istna menażeria...

PiPiDżej: Na koniec pytanie bardzo konkretne, ale naprawdę niezłośliwe... Kiedy zapiszesz się do GKF-u (np. do KCZK)?

AdaM: Hm.... Przyznam Ci się szczerze, że nie lubię tej całej otoczki biurokratycznej, związanej z przynależnością do wszelkich organizacji. Właściwie nie lubiłem tego „od zawsze”, wskutek czego do „Zuchów”, ZHP, LOK i LOP (a sam zapewne pamiętasz, że w zapisywano do tych stowarzyszeń „hurtowo”, całe klasy szkolne) należałem jedynie w sprawozdaniach osób prowadzących ich szkolne oddziały. Z drugiej strony GKF nie wydaje mi się organizacją tak sformalizowaną, jak inne, więc pewnie zapiszę się, jak tylko otrzymam deklarację członkowską i regulamin. Ze względu na miejsce zamieszkania, dość odległe od Klubu, aby nie być klubowiczem figurantem, najpewniej będzie to KCZK, bo nie mogę sobie z różnych względów zawodowo-rodzinnych pozwolić na regularne odwiedziny siedziby GKF-u.

PiPiDżej: Dziękuję za rozmowę.

AdaM: Ja również.

rozmawiał: Jan Plata-Przechlewski

Atomowa zagadka

"W metalu przepływ (ciepła) zachodzi, gdy jeden atom potrafi drugi, podobnie jak jedno rozbrykane dziecko zaraża wesołością całą klasę"

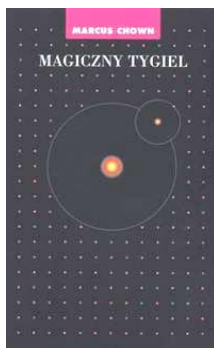
Niby takie oczywiste, ale do wymyślenia podobnego porównania trzeba czegoś więcej niż tylko talentu popularyzatorskiego. Może tym czymś jest pasja, szczerze oddanie pewnej sprawie, w tym przypadku nauce. A może po prostu mamy tu do czynienia z pewnym rodzajem zboczenia zawodowego, i to do tego podwójnego. Polot dziennikarza w połączeniu z solidną wiedzą teoretyczną. Wszystko się przeplata, kotłuje, jedna dziedzina życia wchodzi w drogę innej. Zupełnie jak w tytułowym tyglu. Raz zaczynając berka z tym chimerycznym potworem, jakim jest nauka w wydaniu popularnym, niełatwo dać sobie na wstrzymanie. Wiem to po sobie.

"Magiczny tygiel" to pozycja, o której z pewnym trudem muszę powiedzieć, że żałuję, iż to nie ja ją napisałem. Gdybym był na miejscu autora, zrobiłbym to właśnie w taki, a nie inny sposób (inna sprawa, czy w ogóle bym zdołał). Temat wdzięczny, aczkolwiek niezwykle obszerny. Trudno go wyczerpać i nie pominąć czegoś ważnego. Marcusowi udało się jednak wyjść obronną ręką. Pomimo złożoności zagadnienia, olbrzymiej ilości danych historycznych oraz naukowych, całość prezentuje się czytelnikowi jako spójna i wciągająca lektura.

Rzecz traktuje o atomach. Nie pierwszy to raz i nie ostatni, ale za to wyczerpująco i z "biglem". Niedawno – ściśle mówiąc, przy okazji recenzji "Sąsiedniego wszechświata" – narzekałem trochę na to, że Marcus Chown w swojej książce jest mało widoczny. Tym razem sprawa przedstawia się trochę inaczej. Przypomina mi bardziej stylem Wołoszańskiego, który referuje fakty historyczne, wplatając jednocześnie w opowieść własne zapytania, wątpliwości, ciekawe stwierdzenia. Dzięki temu "Magiczny tygiel" rozpęda się, atakując cały czas nowymi niespodziankami.

Autor płynnie przechodzi od opisu naszej absolutnej niewiedzy o atomach do wyjaśnienia kwestii ich powstania, a co za tym idzie – zasady działania gwiazd. Richard Feynman powiedział kiedyś, że gdyby cała nasza doczesna wiedza została stracona w jakimś kosmicznym kataklizmie, nauka szybko odbudowałaby się pod warunkiem przetrwania jednego zdania – stwierdzenia istnienia tych małych drobinek materii. Proszę zobaczyć, jakiemu przyspieszeniu uległa ona w chwili uświadomienia sobie tego faktu przez badaczy. Przez niespełna dwa wieki udało się fizykom i chemikom nadgonić z ogromną nadwyżką to wszystko, co przez całe stulecia było niedostępne dla ludzkiego pojmowania.

Książka jest bogata w treść, żadna warstwa informacyjna nie została zaniedbana. Do jej zrozumienia wystarczy elementarna wiedza z zakresu szkoły średniej, nawet biorąc pod uwagę lenistwo w jej zdobywaniu. Jak widać, współczesna fizyka, o ile tylko pozbawimy ją tej nieznośnej dla niektórych matematycznej otoczki, może być wciągająca i całkiem przyswajalna. Jest to możliwe dzięki istnieniu pewnej magii laboratorium, w którym to przelewają się różnego rodzaju mikstury, tykają zegary, błyskają płomienie bunsenowskiego palnika. Tak chcemy widzieć naukowców, tak też Chown przedstawia temat w tej pozycji. Pokazuje, w jakich historycznych okolicznościach rodziły się nowe, rewolucyjne idee, jakie były reakcje społeczności naukowej, jak wiele zależało od zwykłego przypadku, a ile od geniuszu odkrywcy.



Wydanie solidne, aczkolwiek klejone. Wątpię jednak, by ktokolwiek zdołał zmaltretować tę książkę tak, żeby się rozpadła. Miękka oprawa, okładka niewyrafinowana, typowa dla tej serii, ale za to tajemnicza i nie przeszkadza w odbiorze zawartości.

Nie pozostaje mi więc nic innego, jak tylko polecić tę książkę każdemu. Nie tylko tym, których interesują korzenie człowieka. "Magiczny tygiel" jest niezwykle interesującą wędrówką w, nie tak znowuż zamierzchłą, przeszłość. Ciekawe postaci, fabuła nierzadko zahaczająca o fantastykę naukową lub wręcz kryminał, solidna dawka faktów i rozwianie mitów. Klimat pozycji najlepiej chyba charakteryzuje jej ostatnie, wstrząsające zdanie, którym i ja zakończę.

"Dlaczego wszechświat jest tak zbudowany, że atomy stają się zdolne do poznawania siebie samych? Z pewnością jest to jedna z wielkich zagadek nauki."

Greg K1ler (www.gildia.com)

Marcus Chown "Magiczny tygiel". Wydawnictwo Zysk i S-ka, 279 s. Cena: 33,90 zł.

Coś drgnęło

Robert Szmidt

Apokalipsa według pana Jana

Katowice 2003

Wydawnictwo ARES 2, s. 256.



Najpierw było opowiadanie. Opublikowane w marcowym numerze „Science Fiction” z 2001 roku *Ognie w ruinach* Roberta Szmidta zwracały na siebie uwagę pomysłem. Wizja Wrocławia (a należy pamiętać, że wybór rodzimej scenerii zdarzeń nadal stanowi rzadkość, zwłaszcza w odniesieniu do dłuższych form prozy fantastycznej) dotkniętego nuklearnym kataklizmem przedstawiona jest w utworze w sposób plastyczny, zaś jego bohaterowie to ludzie „z krwi i kości” (o ile można to powiedzieć o postaciach literackich) rozmawiają językiem tak zbliżonym do współczesnego, iż wydaje się z nim tożsamy. Posługujący się nim mówią, nie zaś przemawiają, wygłaszając kwestie będące *de facto* monologami. Oprócz wspomnianych powyżej zalet *Ognie w ruinach* są sprawnie napisanym utworem fantastycznonaukowym, nie aspirującym do funkcji innej, niż ludyczna – rozczaruje się ten, kto szukałby w opowiadaniu Szmidta aluzji do współczesności, choć jest ono we współczesnych realiach silnie (z uwagi na fabułę) osadzone.

Apokalipsa według Pana Jana to powieść rozbudowująca pomysł zawarty na kartach *Ogni w ruinach*. Należy jednak zaznaczyć, że Szmidt nie „rozdyma” opowiadania do większych rozmiarów, lecz wykorzystuje zaprezentowany w *Ogniach...* świat przedstawiony do ukazania dalszych losów samozwańczego burmistrza Wrocławia – Jana Sobieszczuka – marzącego o Polsce „od morza do morza”. W takim ujęciu można *Ognie w ruinach* traktować nie tylko jako utwór samodzielny, lecz zarazem prolog do *Apokalipsy...*, co wcale nie umniejsza zalet opowiadania.

Fabularnie oba utwory stanowią całość, podporządkowaną wymogom poetyki *dark future*. Tym, co *Ognie ...* zaledwie sygnalizują (ze względu na wykorzystywaną krotką formę), a co w pełni zostaje rozwinięte w powieści, jest katastroficzna wizja świata, ogarniętego postatomowym chaosem. Pomysł ten w polskiej fantastyce (nawet, jeśli weźmiemy pod uwagę twórczość jedynie powojenną; o tym, skąd takie zastrzeżenie –

później) nie jest niczym nowym: wystarczy przypomnieć *Regułę przetrwania* Grzegorza Drukarczyka lub opowiadania Emmy Popik, zebrane w tomie *Tylko Ziemia*. Przywołani tu twórcy wyznaczali kanon nurtu *dark future* i pod tym względem powieść Szmidta nie wnosi niczego nowego. Zarazem jednak *Apokalipsa...* jest jednym z pierwszych (należy pamiętać bowiem o wykorzystywanym we *Wrześniu* Tomasza Pacyńskiego motywów katastrofy solarnej, wywodzącym się jeszcze z fantastyki modernistycznej) utworów współczesnych, a na pewno najlepszym, który tak obficie czerpie z tradycji rodzimej fantastyki katastroficznej, niezwykle popularnej w okresie Dwudziestolecia Międzywojennego.

Na kartach utworu Szmidta można zauważyć próbę reinterpretacji i dostosowania do współczesnej świadomości nieomal wszechobecnych wówczas w literaturze zarówno popularnej, jak i wysokoartystycznej (by wspomnieć *Pożegnanie jesieni* i *Nienasyconie* Stanisława Ignacego Witkiewicza) motywów z koncepcja wojny totalnej i zagrożenia tzw. „żółtym niebezpieczeństwem” na czele.

Nie należy jednocześnie zapominać o istotnej różnicy w motywacji wykorzystywanych wątków katastroficznych: pisarze, publikujący swe utwory w dwudziestolecu, traktują podejmowane kwestie bądź doraźnie na zasadzie zbeletryzowanej publicystyki, bądź też jako okazję do przeprowadzenia eksperymentu myślowego; Szmidtd podejmowane wątki podporządkowuje ludycznej funkcji utworu, tworząc wciągającą opowieść, która ma jednak — przede wszystkim — bawić. Toteż, o ile powieści Barszczewskiego lub Smolarskiego dają literackie świadectwo autentycznej obawy przed skutkami ataku gazami bojowymi, Szmidtd „bawi się” nuklearnym zagrożeniem. W efekcie można zauważyć wpływ na poetykę *Apokalipsy...* elementów „czarnego humoru”, który wyraża ów ludyczny charakter nuklearnego kataklizmu.

Niezależnie od powyższej uwagi czytelnik mający ambicję znać nie tylko nowości na rynku *science fiction*, lecz również kanon rodzimej fantastyki naukowej, łatwo na kartach *Apokalipsy...* odnajdzie pogłos militarnych powieści sensacyjno-fantastycznych Antoniego Marczyńskiego (*Świat w płomieniach*), Romana Umiastowskiego (który pod pseudonimem Bolesława Żarnowieckiego wydał dwie powieści — *Rok 1974* i *Rok 1975*), Stefana Barszczewskiego (*Czandu*).

Literackich oddźwięków źródeł wydarzeń składających się na fabułę powieści Szmidta są świadomi jej bohaterowie, podsuwający ten trop interpretacyjny czytelnikowi: jeden z prominentów z otoczenia Sobieszczuka sugeruje iż *być może mamy do czynienia z (...)* *zapowiadany w wypowiedniach zalewem żółtej rasy* (s. 212). Podobnie powieściowemu pierwowzór (z *Czandu* Barszczewskiego) mają obrazy wędrowki Chińczyków, zasiedlających opustoszałe tereny wschodniej Europy (s. 215).

Przywołanie twórczości autorów międzywojennej *science fiction* w kontekście *Apokalipsy* nie ma jednak na celu wstępu do zarzucania jej wtórności. Cieszy fakt, że (wreszcie!) znalazł się ktoś, kto dostrzegł bogactwo rodzimej fantastyki i zechciał z niego skorzystać. W dodatku nie uczynił tego w sposób nieudolny. Wrażenie autentyczności potęgują też „swojskie klimaty”: osadzenie akcji w na terenie Polski, nie w mitycznej przestrzeni „Neverlandu” wskazuje, że to, co było pierwszymi jaskółkami (czyli większością opowiadań drukowanych w „Science Fiction”) ma szansę na przemianę w stałą tendencję. Może dzięki temu przestaniemy traktować rodzimą fantastykę jako zjawisko wtórne w stosunku do zachodniego piśmiennictwa tego typu. Czas już bowiem najwyższy, by nie rozpatrywać jej jedynie-li w kontekście utworów obcych i potraktować jako zjawisko autonomiczne. Sprzyjają temu i sprzyjać nadal będą utwory równie dopracowane artystycznie, co *Apokalipsa...*, reinterpretujące wykorzystywany sztafaż rekwizytów fantastycznonaukowych.

Należy również wyrazić nadzieję, iż w stosunku najmłodszego pokolenia pisarzy do klasyki polskiej fantastyki naukowej coś drgnęło i *Apokalipsa...* będzie *signum temporis* prób zajęcia własnego stanowiska, akceptującego lub negującego bogatą tradycję międzywojennej fantastyki, nie pozostając jednak w stosunku do niej obojętnym. Twórcy współczesnej *science fiction* są to winni swym antenatom i dobrze się stało, że zaczynają podejmować się spłacania zaciągniętego długu. Jako się rzekło — coś drgnęło.

Adam Mazurkiewicz

„The Empire Strikes Back” – NEXT Special Episode

Trwa zacięty pojedynek na miecze świetlne. Darth Vader spycha Luke’a Skywalkera w kierunku końca galeryjki.

Nagle szybkim ruchem Vader obcina Luke’owi dłoń! Dłoń, wirując, spada w głąb szybu wentylacyjnego.

Luke rozgląda się, ale widzi, że nie ma gdzie uciekać; pod nim jest tylko otchłań.

Darth Vader: Obi-Wan nigdy nie powiedział ci, co się stało z twoim ojcem...

Luke Skywalker: Powiedział mi dość! Powiedział, że ty go zabiłeś!

DV: Nie! To ja jestem twoim ojcem!

LS: Nie, to nieprawda! To niemożliwe!

DV: Zaufaj swych uczuciom. Wiesz, że to prawda.

LS: Nie!

DV: Tak, to prawda. A wiesz, co jeszcze? Kojarzysz tego swojego porąbanego miedzianego robota?

LS: Threepio?

DV: Tak, Threepio. Zbudowałem go jak miałem siedem lat.

LS: Nie.

DV: Siedem lat! A ty co osiągnąłeś? Popatrz na siebie: nie masz ręki, nie masz pracy, i nawet nie potrafiłeś wyciągnąć swojego statku z bagna.

LS: Zniszczyłem twoją bezcenną Gwiazdę Śmierci!

DV: Mając dwadzieścia lat! Ja, jak miałem dziesięć, własnoręcznie zniszczyłem Statek Dowodzenia Droidami Federacji Handlowej...

LS: Przecież to nie moja wina!

DV: O, tak – teraz to będzie: „O ja biedny, tatuś nigdy nie dawał mi wymarzonych prezentów na urodziny, buuu, mój tata to Mroczny Lord Sithów, bla, bla...”; rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę!

LS: Zamknij się!

DV: Leń z ciebie! W twoim wieku ja już zdążyłem wyciąć w pień Rycerzy Jedi!

LS: Ścigałem się moim T-16 w Kanionie Żebraków!

DV: Och, na miłość Boską, w wieku dziesięciu lat wygrałem Otwarte Mistrzostwa Boonta. Jedyny człowiek, jaki kiedykolwiek ścigał się podem – patrzysz na niego, kochaniutki!

Luke patrzy w głąb szybu. Robi krok w jego kierunku.

DV: Myliłem się. Nie jesteś moim synem. Nie wiem, czyim synem jesteś, ale na pewno nie moim. Zjeżdżaj mi z oczu, frajerze!

Luke robi krok za platformę, waha się, wreszcie skacze w głąb szybu. Darth Vader patrzy w ślad za nim.

DV: I IDŹ DO FRYZJERA!

[w Internecie wypatrył: Ceti, na polski przełożył: Prezes]

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

INFORMATOR
196

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nac.), Krzysztof Papierkowski,

Marcin Szklarski, Michał Szklarski

GRAFIKI: Marek Dąbrowski (4), Piotr Terszel (22)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 400

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji